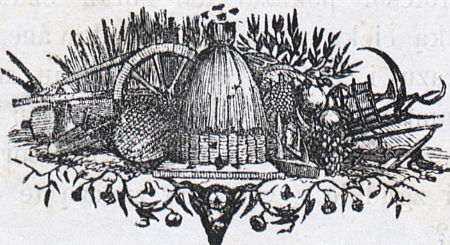
Tom XVI. Nr. 10.

1. kwietnia 1867.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Śmierć Czarneckiego
hetmana polskiego.

We wsi Gliszczanach są gazdowie dobrzy i mądrzy, bo od 20 lat fundowali sobie szkołę wiejską, na co dał dwór jedną część płacy, a plebanja dała także niemały przyczynek. Stoi budynek cały drewniany i obielony z wielkiemi oknami od wschodu i od południa, aby był dobry widok w izbie szkolnej, a na ścianach w środku wiszą różne obrazy: to świętych patronów, to królów polskich, to uczonych i mądrych Polaków, co to i z panów i chłopów wyszli nauką i dobrem życiem na wielkich ludzi, a szkolarze umieją tam opowiadać różności ciekawe o tych obrazach.

Otoż raz podarował dwór do tej szkoły nowiuteńki obraz, w ramki czarne oprawiony, na którym był wymalowany jakiś chory na łóżku, koło łóżka jakiś xiądz na kolanach, a koło chorego stali jacyś wojacy, mieszczani i chłopi, a co znowu dziwnego, że stał tam i koń biały a chory głaskał go po głowie. A na spodzie obrazu był taki napis:

Ostatnie chwile Stefana Czarneckiego.
Roku Pańskiego 1665.

Jak pan profesor pokazał ten obraz szkolarzom, to oni obzierali z wielką ciekawością osoby malowane, odczytali napis na spodzie obrazu i zaczęli coś po cichu mówić, głowami kiwać i ramionami ruszać na znak, że żaden z nich nie wiedział co to znaczy ten obraz. Aż pan profesor pyta:

— Kto mi zgadnie z was, co znaczą te osoby wszystkie na tym obrazie?

Ale nikt nic nie mówił, więc pan profesor sam tak opowiadał:

— Ten chory namalowany jest Stefan Czarnecki, syn polskiego dosyć ubogiego pana, ale nauką i dobrem życiem dorobił się on tego, że w całym polskim kraju znaczył bardzo wiele i był pierwszym jenerałem na całą Polskę. Sławny to był wódz polski, a oręż jego straszny był dla wrogów ojczyzny! Nie jeden raz on ocalił całą Polskę — a Szwedzi i Moskale, których on gromił i ścigał, popamiętali dobrze jego szablę; Co tu stoi namalowane na obrazie, to się działo wszystko roku Pańskiego 1665 na tydzień przed św. Maciejem, a więc jak uciał 200 lat temu teraz.

A jeden szkolarz powiada:

— To tu ten pan Czarnecki widać umiera, czy leży chory, bo jest xiądz jakiś koło niego na kolanach i stoją ludzie zapłakani.

— A dobrze mówisz — rzecze pan profesor — bo stoi na podpisie powiedziane, że to ostatnie chwile życia Czarneckiego.

Ale zapytał znowu szkolarz:

— Czy to dwór jaki, gdzie on umiera, czy też jaka inna chałupa? bo coś na dwór pański nie patrzy.

— To chałupa — rzecze pan profesor — jednego ubogiego mieszczanina w miasteczku Sokołowce.

— A gdzie to leży to miasteczko? — zapytali szkolarze — może gdzie daleko od nas.

— Oj! nie tak daleko — rzecze pan profesor — bo zaraz koło Brodów, które to miasto polskie jest na granicy moskiewskiej od Galicji, het za Lwowem o jakie 30 mil od nas.

— No! to w naszym kraju widać umarł ten pan Czarnecki — gadali szkolarze — ale co on tu robił?

— Ja wam to opowiem — rzecze pan profesor — jeno posłuchajcie dobrze. Na rok przed śmiercią, to jest roku Pańskiego 1664 były w Polsce wojny straszne. Kozacy od granicy tureckiej zaczęli się buntować i rabowali dwory, kościoły katolickie, palili miasta i wsie. Toż król polski Jan Kazimierz, posłał z tym hetmanem Czarneckim wojsko polskie na obronę. Czarnecki podszedł tych kozaków w mieście Stawiszcze i zmusił ich tam do poddania się Polakom. Ale na nieszczęście była wtedy zima wielka, śniegi spadły po kolana, toż Czarnecki hetman polski zachorował nagle, bo był już i stary i na wojnach sponiewierany. Co tu robić wtedy? Czarnecki zwołał wojaków swoich i kazał im, aby go wieźli na saniach pomalu ku Brodom a potem do Lwowa, aby tam mógł się ratować. I wojacy smutni zrobili tak i wieźli go do Brodów. A gdy go tak wieźli chorego, spotkali na drodze jednego urzędnika polskiego, który jechał z Warszawy od króla z pismem do pana Czarneckiego.

— A z jakiem pismem? — zapytali szkolarze.

— Ten urzędnik — mówił pan profesor — wiózł od króla pismo, w którem mniej więcej tak stało:

„Jesteś hetmanie Czarnecki teraz na całą Polską, nad całem polskiem wojskiem najpierwszym jenerałem i nazywam cię Hetmanem Koronnym, a całe moje wojsko ma cię słuchać jak mnie samego; robię to dla ciebie, i wszyscy panowie i biskupi tak uradzili, aby ci zapłacić za twoje wysługi, za twoją naukę wojacką i za wszystko dobre, coś robił dla Polaków przez twoje całe życie.“

Otoż jak pan Czarnecki odczytał to pismo, uradował się bardzo i powiedział do wojaków:

— Ja zostałem hetmanem ani z roli, ani z soli, ale z tego, co mię boli! A to znaczy tyle, że pan Czarnecki nie był bogaczem żadnym, jeno pobożnym Polakiem, dobrym wojakiem, i za to zapłacił mu Bóg i dał mu doczekać takiego urzędu, jakiego nie dostali drudzy bogacze polscy.

*

— No! cóż się dalej stało z tym panem Czarneckim? — pytali szkolarze.

— Co się stało — powiada pan profesor — to się stało, że wojacy wyruszyli dalej w drogę i wieźli na saniach chorego. Ale sanie trzęsły czasem i z jednego boku drogi szły na drugi bok, a to było dla chorego bardzo źle. Wojacy poszli więc do jednego chłopa, pożyczyli nosze, wysłali sianem, wzięli nosze na ramiona i szli tak z chorym po kolana w śniegu. Ale wypadło im nieść chorego w samą niedzielę wielkiego postu, toż pan Czarnecki jako bardzo pobożny mówił:

— Chyba wy mię nie nieście dziś dalej, bo to święta niedziela, po kościołach nabożeństwo, a my nie możemy się nawet pomodlić.

— No! to go może zostawili? — pytali szkolarze.

— A nie — rzecze pan profesor — bo w niedzielę i święto dobrze komu zrobić, choremu usłużyć, z biedy kogo wydobyć nie jest grzechem — toż i oni poszli dalej z chorym i przyszli na milę od Brodów do małej mieściny Sokołówka i ztąd ani ruszyć dalej, bo śnieg walił a walił z góry, kurzawa biła aż ciemno, a wiater mroźny ciągnął wschodni, aż przeszywało każdego. I takie zimno przyczyniało się także do choroby Czarneckiego, bo zaziębienie strasznie szkodzi zdrowym, a cóż dopiero chorym?

— Aha! — wołali szkolarze — to na tym obrazie pewnie wymalowane to, że ten hetman Czarnecki leży w chałupie chory w Sokołówce u jakiegoś dobrego człowieka.

— A dobrze gadacie dzieci — rzecze pan profesor — jak wojacy nie mogli już nawet kroku zrobić w śniegach wielkich i nie chcieli chorego umrozić, toż poszli do jednej chałupy mieszczańskiej i położyli chorego hetmana na łóżku ubogiem. Wieczór kazał pan hetman zawołać swego xiędza Dąbrowskiego, kapelana wojaków i powiada:

— Ojcze duchowny! ja pono rana nie doczekam, toż chcę się zawczasu z Bogiem pojednać i na sąd Boży przygotować.

I przystąpił xiądz do łóżka, wysłuchał spowiedzi chorego, dał rozgrzeszenie, a potem klęknął na ziemi i modlił się o życie hetmana.

— Aha! — wołali szkolarze — to akuratnie wymalowany xiądz klęczy na ziemi i mówi pacierz. Ale pocóż tu koń stoi koło łóżka?

— To moje dzieci — rzecze pan profesor — tak było, że ten dobry koń nie chciał iść do żadnej stajni, jeno leciał do swego pana hetmana i koło niego tupał nogami, rżał i stękał, aż się na płacz każdemu zbierało. Toż wojacy postawili go w tej sioncc, dali mu jeść i pić, a to biedne zwierzę ani tknęło owsa ani wody w cebrze, tylko patrzało do izby, jak kto drzwi otworzył i ciągle stękało tak, jakby płakało za hetmanem. A gdy to słyszał hetman rozpłakał się, kazał konia do łóżka przyprowadzić, głaskał go, a koń spuścił uszy, zwiesił łeb, zaparł oczy, skulił się cały i drżał, aż strach było patrzeć na to biedne zwierzę.

Na to opowiadanie ucichli i szkolarze, jednym puściły się łzy z oczu, aż po chwili pytali:

— No to teraz wiemy, na co tu koń stoi koło łóżka wymalowany, czy też ten pan Czarnecki wyzdrowiał potem?

— O dziatki! — rzecze pan profesor — może każdy spokojnie umierać, kto zrobił tyle dobrego za życia ile ten Czarnecki. Po spowiedzi w nocy zrobiło mu się nieco lepiej, bo pojednał się z Bogiem i widział, że go żałowali nietylko ludzie, ale i zwierzę, biedny koń; ale na drugi dzień xiądz odprawił mszę św. o życie hetmana, całe miasto razem z wojakami modlili się, po mszy wykomunikował go xiądz, a niedługo skonał cicho pan hetman, a duszę jego dobrą wzięli Anieli i zaprowadzili do Boga. Wtedy to był płacz wielki po mieście! Zaraz pojechał jeden wojak do króla do Warszawy z smutną nowiną, a król kazał ciało hetmana przyprowadzić do Warszawy na pogrzeb, gdzie się też odbył pogrzeb bogaty aż strach, a z Warszawy odwieziono ciało do wsi pana Czarneckiego, co się zowie Czarnca, i tam pochowano. Otoż tak umarł Czarnecki hetman. Umarł ubogo, w prostej chałupie, na biednej pościeli, ale za to miał pogrzeb królewski, a do dziś mówią o nim Polacy więcej dobrego, niż o niejednym cesarzu lub królu.

Szkolarze patrzali teraz na obraz, wiedzieli co znaczą te malowane osoby, aż jeden widząc konia powiada:

— A co się też stało z tym dobrym koniem?

Na to powiada pan profesor:

— Słyszałyście dzieci nieraz, że na grobie pana swego zdychały psy i konie z żalu — bo pies i koń są nieraz wierniejsze od ludzi niedobrych. Toż i koń ten biedny zdechł z żalu. Jak widział, że ciało hetmana wynieśli, to koń ani skosztował owsa, ani pił, ani nie dał nikomu do siebie przystąpić, jeno bił kopytami o ziemię, stękał, a gdy osłabł bez jedzenia, zdechł potem.

Szkolarze opatrzyli jeszcze raz obraz cały, potem pan profesor zawiesił go na ścianie, a szkolarze opowiadali każdemu potem o tym obrazie. *Xiądz Wojciech z Medyki.*

Szanujmy ojców zgrzybiałych.

Stoi chata bielona, strojnym płotem grodzona,
Są w komorze dostatki;
Tylko smutno na duszy! nie ma lipy ni gruszy
Na około tej chatki.
Grusze stare, zwiśnięte, na polana wycięte;
Sam gospodarz je zcinał:
Za to tyczek bez liku, tuż za oknem w chmielniku,
Niby igły powpinał.
Jest w chałupie tej starzec, setny pomni on marzec,
A jak gołąb' tak siwy;
Wiek do ziemi go zgina, drży, jak stąpa chudzina:
Chłop to z chłopów poczciwy!
On te grusze zasadził, on stodółkę uładził,
On swe wołki i rolę,
Gdy już syna wyswatał, gdy i dachy połatał,
Zdał mu wszystko na wolę.
Dołem struga przeczysta, niby wstęga srebrzysta
Po smugu się przewija;
Płynie — płynie kochana, taka w wieczor jak zrana:
Brud, kałuże o[illegible]ija...
Czemuż życie u ludzi, często pychą się brudzi?
Człek i słońce pokala!
Czemu w chacie za ciasno, czemu w oknach nie jasno:
Brudno w duszy synala?

Czemu chodzi ponury? Patrzy w ojca z pod chmury:
Czy zawadzać zaczyna?
On przy piecu na ławie tak skulony, tak łzawie
Błaga Boga za syna...
Do obiadu za stołem siadł gospodarz, i kołem
Żona z dziećmi zasiadła;
Wstał też starzec i drżący krok posuwa chwiejący
I zbliża się do jadła;
A gdy usiadł na ławę, dłoń wyciągnął po strawę,
Talerz był malowany;
Wziął go dłonią trzęsącą; talerz z strawą gorącą
Padł w kawałki strzaskany.
To już nadto dla syna! Łajać starca poczyna
Ze szatańską skrą w oku;
Dla lepszego pożytku kazał odtąd w korytku
Ojcu jadać na boku.
Przemkły dzionki gorące, zmarzła struga na łące,
Ogień bucha z komina;
Przędą w chacie, drą pierze; starzec szepcze pacierze:
Błaga Niebo za syna...
A syn siedzi w świetlicy, w kusym stroju, w szlafmycy;
Długą lulkę nałożył,
Krótką rozpiął sukmanę, muska lica rumiane,
Nogi dumnie rozłożył.
I patrzy na synka, co wciąż koło kominka
Dłubie w drzewie kozikiem;
Znać, coś skrzętnie sposobi — ojciec ciekaw, co robi,
Wszedł w rozmowę z chłopczykiem.
— „Widzi ojciec, ja sobie naprzód, wolno, sposobię
Koryteczko sosnowe:
Gdy ojczulko zsiwieje, a ja dobrze dojrzeję,
To już będzie gotowe;
I jak dziadzi w tym roku, tak wam znowu na boku
Ja korytko ustawię."
Na te słowa niewinne, na proroctwo dziecinne
Zadrżał ojciec na ławie.
Fajka z ust mu wypadła, twarz przestrachem pobladła,
Wstał, przebiega świetlicę...
Duma — duma, trze czoło, błędnie spojrzał w około,
Zrzuca z głowy szlafmycę,
I przed starcem uklęknie, ciężką winę w głos jęknie;
Ucałował dłoń drżącą:
Starzec otarł łzy skrycie — jak po deszczu w błękicie
Twarz miał słońcem jaśniącą...

Błogosławi skroń syna, dłonie nad nim w krzyż zgina —
I od chwili proroczej
Jasno w chacie, przestrono, dźwięczniej warczy wrzeciono,
Struga brzęczy uroczej....

J. G.

Dziad fundator.

Nie zbyt dawnemi czasy, w jednem z większych miast Litwy gdzie i xiążęcy stał zamek — był staroświecki, Witołda jeszcze czasy pamiętający, niebogaty klasztor xięży Bernardynów — dziś stoi on jeszcze jak i tyle innych murów klasztornych, ale gdzie ojcowie? gdzie nabożeństwo? gdzie kapłani? pytajcie cara moskiewskiego, co porozpędzał tysiące sług Bożych i niezliczone poburzył kościoły! Niedaleko niego był drugi, piękny, nowy, murem obwiedziony klasztor i kościół xięży Trynitarzy. Czem on dzisiaj — spytajcie cara! O obu tych klasztorów piękna i prawdziwa jest opowieść, posłuchajcie.

W dniu jednym jesiennym przed wieczorem, siwobrody, nędznie odziany dziadek o kiju i torbie, z paciorkami u pasa, a krzyżem i medalem Matki Boskiej na szyi, zapukał nieśmiało do furty skromnego i starego klasztoru Bernardyńskiego. Wyszedł furtjan a dziadek skłoniwszy się pokornie, pochwalił najpierwej Chrystusa Pana a potem rzekł:

— Idę do miejsc cudownych i o żebranym chlebie obchodzę te strony, ale stare kości mi nie służą, nie mogę iść, radbym odpocząć, a słodki staremu spoczynek byłby za klasztorną furtą; prosić będę wielebnych Ojców aby mnie biednego przyjęli pod dach swój choć na dni parę. Da Bóg, gdy pokrzepię ciało i duszę, pójdę i błogosławić ich będę. A jeżeli Bóg nie pozwoli odzyskać siły, jeżeli umrę, to szczęśliwy, że nie na drodze ale w świętem miejscu, a kapłańska ręka zamknie mi powieki i święconą wodą trumnę pokropi. Proszę was Ojcze powiedzieć starszemu, że dziad ubogi prosi o miskę strawy i przytułek jaki taki, a za to czy umrę, czy żyć będę, w modlitwach moich nigdy nie zapomnę o ojcach! Ach xięże dobrodzieju! i kroplą wody — rzekł Chrystus — będzie policzona w niebie!

I umilknął dziad, skłoniwszy głowę i czekał odpowiedzi. Furtjan nierychło odpowiedział i coś głową kręcił.

— Staruszku — rzekł nakoniec — jest ci to wprawdzie klasztor ale ubogi, sami z jałmużny żyjemy; jest klasztor ale nie ma szpitalu ani gospody, ciasno tu i biedno — trudno was przyjąć, czekajcie jednak, pójdę do gwardjana.

I zniknął furtjan w korytarzach a dziadek czekał u drzwi pod ścianą; prędko jednak furtjan wrócił, zaprowadził go do izby czeladzi, bo xiądz gwardjan kazał posilić biednego, ale przyjąć nie mógł na dłużej w klasztorne progi; postawił mu dzbanek piwa i krajankę chleba, a dziadzina choć smutny przekąsił i napił się, snać głodny był i spragniony. Orzeźwiwszy się podziękował mile i wyszedł z Bożego domu, a głos furtjana:

— Niech Pan Bóg prowadzi! szedł za nim.

Powlókł się dziadek w miasto; niedaleko ujrzał na zielonym cmentarzu małą, drewnianą, bielutką kapliczkę z jasnym krzyżykiem; widać że była nowa ale ubożuchna. Przy niej stał domek także krzyżem ubrany z kratami w oknie. I tam mieszkali zakonnicy, i tam był klasztor niebogaty, a nad furtą był obraz, na którym namalowani byli xięża, więźnie i Tatary. Był to klasztorek i kaplica Trynitarzy.

Xięża ci wielce pożyteczni w świecie a szczególnie w Polsce, wykupywali za grosz jałmużny nieszczęśliwych chrześcijan z niewoli pogańskiej — puszczali się w dalekie strony między Turki i Tatary i wielu jeńców przyprowadzali do ojczyzny, a gdy grosza im nie stało, sami się zaprzedawali w niewolę na miejsce braci.

Święty to był zakon, błogosławiony od świata i Polski, która w krwawych zapasach z pogańskim wrogiem tyle dziatwy swej traciła i w niewolę sromotną oddawać musiała. Wielkiego trzeba było poświęcenia i miłości, aby takim obowiązkom trudnym sprostać.

U tej kapliczki więc trynitarskiej ukląkł dziadek i modlił się na paciorkach, a modlitwa krzepić go musiała, bo xiężyc już zeszedł na niebie a on jeszcze z Bogiem był w rozmowie. W tem uczuł, że mu ktoś położył rękę na ramieniu, oglądnął

się i ujrzał przed sobą xiędza, którego ubior był cały a na piersiach krzyż miał czerwony z sinem (tak się ubierali Trynitarze).

— Dziadku — rzekł do niego łagodnie — wybacz, że ci przerywam modlitwę, ale chłód już musiał przeniknąć stare twe kości, a noc już na świecie, kiedy Pan Bóg skierował tu twoje kroki, już ci nie dam szukać innej gospody. Zapewne idziesz pielgrzymką, pójdź staruszku do nas, choć nie ma u nas dostatku, choć my ubodzy, ale znajdzie się dla wędrowca szklanka wina i kącik ciepły w celi.

Dziadek się pokłonił i poszedł nieśmiało.

— Ojcze dobrodzieju! Radbym dusznie spocząć w świętem schronieniu, ale nie śmiałem dzwonić do furty, bo człowiek w łachmanach boi się być natrętnym. Klasztor wasz szczupły jak baczę. Ah dobry xięże! gdzieby tam miejsca było na moje szmaty żebracze, gdziebym się ważył objadać waszą wieczerzą!

Na te słowa ofuknął się srodze xiądz biały.

— Co pleciesz człowiecze! Toć my Trynitarze włóczymy się w szerz i wzdłuż po świecie wykupując jeńce, a przecie i w tatarskim Krymie, gdy pielgrzym zdaleka poprosi o gospodę, to mu dadzą mięsa i kobylego mleka, a tu przecie nie Tatarzy, ale klasztor polski co Chrystusa chwali i Chrystusowe miłosierdzie święci... nie masz co gadać stary — pójdź ze mną.

I poszedł dziadek ze zakonnikiem, powieczerzał, przenocował z ojcami i nazajutrz nie poszedł w drogę, bo wczasu potrzebował — i dnie mijały a staremu tak dobrze było za furtą, że nie myślał o drodze; kościół miał pod bokiem, gdzie modlił się cały ranek i ciepłą strawę i siennik swój świeży w celi, i miłe z ojcami pogadanki. Nawet swoj stolik do objadu miał w refektarzu i w kościele wedle kruchty swoją ławeczkę.

Tydzień za tygodniem mijał a dziadek szczęśliwy mieszkał w klasztorze, ale nie wypadało dłużej się naprzykrzać, chciał więc iść ale xięża tak go prosili aby został jeszcze i spoczywał, że rad zostawał jeszcze po trosze, a gdy nakoniec przyszedł dzień pożegnania, to dziad z płaczem już nie kłaniał się zwyczajem żebrackim, ale ściskał Ojców jak krewnych swoich, a przełożonemu, którego pokochał najwięcej, dał na pamiątkę swój krzyż i medal Matki Boskiej.

Powędrował biedak, słych o nim przepadł.

Aż oto po miesiącu, ulicą wiodącą do klasztoru, jechała kareta pańska a za nią sznur wozów ładownych w zboże. W karecie w futrach siedział jakiś pan stary, a przed furtą trynitarską stanął, wysiadł i wprost podszedłszy pod kościółek drewniany, zdjął kołpak i kornie uderzył czołem, a potem jakby świadomy poszedł do celi przełożonego.

Xiądz widząc znakomitą osobę, witał w progu z uszanowaniem i prosił jeżeli łaska do celi. Pan się uśmiechał, głaskał brodę siwą a wszedłszy rzekł wesoło:

— Tak to zacny xięże, nie poznajecie starych znajomych w nowej szacie? Przypatrz się, jam jest ów żebrak, któregoś wieczorem z pod kaplicy przywiódł w wasze gościnne progi, ów dziad, któregoście mili ojcowie tak długo chlebem i winem karmili. Dziś znowu przychodzę do was gościną, ale niosę już własny chleb i własne wino i zapraszam was do mojego stołu. Co mi Bóg dał, spożyjemy razem a co zostanie będzie dla pielgrzyma i dla kaleki.

Xiądz przełożony patrzał z zdziwieniem, a pan siwy tak mówił dalej:

— Nazywam się Paweł Majkowski, Bóg mnie błogosławił na ziemskiej doli, mam piękny dworzec i cztery wioski, mam urząd w powiecie i mir u ludzi. Wśród dziatwy, obok kochanej żony, byłem kiedyś szczęśliwy, ale Bóg dotknął krzyżem — wymarła mi dziatwa, żonę pochowałem i zostałem sam jeden na świecie. Głucho i smętno mi było w mym bogatym gmachu, u Boga szukałem pociechy, błagałem o pokój duszy i ofiarowałem Mu wszystkie włości moje na chwałę, aby tylko swą łaską pokrzepił mi serce.. Bóg mnie wysłuchał, nawiedził pociechą i pokojem, a ja skwapliwy z mojemi ślubami przysiągłem w kościele przed najświętszym Sakramentem oddać całe moje mienie zakonowi takiemu, który najwięcej dobrego czyni dla ludzkości, łaknących karmi, spragnionych poi, słabych umacnia, ciemnych oświeca i garnie bliźnich jak Chrystus dzieci. Ale zakonów jest wiele, wszystkie niebogate, wszystkie mogą być święte, nie wiedziałem który wybrać. Zacząłem czytać reguły klasztorne, wszystkie zbawienne, jeżeli je bracia

pełnią sumiennie. Cóż czynić? Duch święty poddał mi środek. Przywdziałem szaty żebracze i poszedłem przekonać się sam u progów klasztornych gdzie ludzie doskonalsi w zakonie, gdzie miłosierniejsi. Z torbą o kiju szedłem do miasta licząc zdaleka krzyże na kościelnych wieżach, i pierwszy mi stanął u drogi klasztor ojców Bernardynów. Litościwa ręka dała mi tam chleba i szklannicę piwa. Wdzięczny i za to choć cokolwiek smutny, trafiłem pod kościółek wasz i modliłem się, nie śmiejąc już jakoś zapukać do furty. Wasza jednak uprzejmość sama mnie zabrała, wyście mi dali ojcowską gościnę, chleb i wino, i serce. Spełnił się więc ślub mój, niech moja posiadłość ojczysta zostanie się w waszym klasztorze, bo tu bliźni skorzystają z moich darów, tu najlepsza będzie chwała Bogu, tu mieszka miłosierdzie. Więzień i żebrak i sierota dziękować będzie Bogu, a dusza moja dostąpi miłosierdzia. Oto macie ojcze akt fundacji w urzędzie potwierdzony. Cztery włości moje wystarczą, aby dźwignąć kościół murowany, klasztor nowy i czem przyjąć żebraka. W ręce twoje składam wszystek grosz mój, a ty nie poskąpisz mi na kaszę — bo odtąd mieszkać u was będę i nie opuszczę mojej celi i ławeczki dla dziada w kościele. A gdy umrę, pogrzebiecie mnie łaskawie i odprawicie co roku kilka mszy świętych. Jednak jeszcze jeden warunek wam położę szanowni ojcowie, złóżcie co roku bernardyńskiej braci beczułkę piwa i bochen chleba, bo oni posilili biedaka a Bóg kroplę wody nie zapomni w niebie.

Wkrótce piękny kościół z klasztorem bielały obok książęcego zamku. W kruchcie siedzieli ubodzy, a przychodniom pokazywano ławeczki dziada fundatora. Świeżemi czasy jeszcze wznosiły się wspaniale te mury pełne modłów i miłosierdzia; opowiadano wiele o Pawle Majkowskim, który umarł tam pobożnie, i co roku wiernie posełano Bernardynom chleb i piwo, a Ojcowie ci odtąd gościnnie przyjmowali pielgrzyma.

B. E.

List z gminy Błaszkowy.

Czytaliście w numerze 8. „Dzwonka“, w liście z gminy brzyskiej pisanym, o przemowie xiędza Józefa Radeckiego do

wójtów i radnych w kościele mianej, i zapewne nie jeden z czytelników rozczulił się nad tą serdeczną radą, jakiej pobożny ten kapłan tą mową udzielał.

Ja też będąc świadkiem tego nabożeństwa jako parafianin brzyski, powziąłem wielką cześć z innymi dla tak szanownego kapłana, jakim jest xiądz Józef Radecki, i pisząc ten list z żalem oznajmić muszę, iż po roku dopiero pobytu pożegnaliśmy już tego współpracownika przy winnicy Pańskiej; powołanym został na administrację parafji Szymbark.

Głównem staraniem tego kapłana było, odzwyczaić ludzi od tak zgubnego nałogu, jakim jest pijaństwo i tożsamo czuwać, aby sprawy gminne nie odbywały się według dawno zaprowadzonego zwyczaju w karczmie, zkąd tylko obraza Boska ale nie sprawiedliwość rodziła się między ludem.

Gmina Błaszkowa poznawszy dobre chęci czcigodnego kapłana, pierwsza w parafji od roku poczęła sprawy odbywać w szkole, którą staraniem swego czcigodnego dusz pasterza od lat dwudziestu porządnie utrzymywała, a od lat czterech nawet powiększyła — ona też dała przykład do rozpoczęcia swego nowego urzędowania „z Bogiem“, azatem na nabożeństwie przez gminę Błaszkowę dnia 1. marca b. r. sprawionem, miał xiądz Józef Radecki ową prześliczną mowę, przeto błaszkowski naczelnik gminy i radni wieśniacy zasłużyli na pochwałę, a xiądz Józef Radecki od nas na czułe pożegnanie.

Daj Mu Boże wytrwać w tej samej gorliwości, my tu oto prosić będziemy.

Błaszkowa dnia 15. marca 1867.

Edmund Janicki,
nauczyciel, radny i pisarz gminny.

O bogaczu i biednej wdowie.

Przypowieść.

Pewien bogaty gospodarz, chcąc powiększyć miejsce dla swego ogrodu, zabrał całą bliską rolę, która należała do jednej ubogiej wdowy, nie zważając, że to był jedyny jej sposób do życia.

Nazajutrz po tem zdarzeniu, przechadzając się po wydartej roli, ujrzał tę samą wdowę niosącą próżny worek w ręku. Wdowa zbliżywszy się do niego, rzekła pokornie:

— Mój gospodarzu! przychodzę prosić was o jedyną łaskę, abyście mi pozwolili z tej roli, którą tyle lat własnemi rękami uprawiałam, wziąść tylko tyle ziemi, ile w ten worek się zmieści.

— Głupia jesteś moja kochana z twoją prośbą — odpowiedział gospodarz — ale kiedy chcesz, nie zabraniam ci tego.

Wdowa wkrótce napełniła ziemią swój worek i rzekła znowuż do niego z pokorą:

— Kiedy już, gospodarzu, jesteście tak dobrotliwi, to uczyńcie tę jeszcze łaskę i zadajcie mi na plecy ten worek, którego sama nie mogę udźwignąć.

Bogacz, który już odwykł od trudów, długo jej tego odmawiał, gniewając się za taką zuchwałość, że śmiała go oto prosić; lecz wdowa tak go uporczywie błagała, dopóty się kłaniała, że chcąc się od niej uwolnić, przystał naostatek na jej żądanie. Ale skoro ujął za worek, natychmiast odstąpił od niego, mówiąc z gniewem:

— Daj mi pokój! to niepodobna, abym go podniósł..... za ciężki jest dla mnie.

— Mój gospodarzu! — odrzekła mu na to wdowa — otoż, jeżeli ten jeden worek jest ciężkim dla was, to zważcie, ileż to będzie ciężaru na waszem sumieniu przed sądem Boskim za tę ziemię, która więcej jak tysiąc worków zajmuje, a którą teraz odbierasz jednej biednej wdowie.

Uderzony temi słowami i tak stosownem porównaniem bogaty ten człowiek, rozkazał natychmiast zwrócić rolę pokrzywdzonej wdowie i sowicie ją nagrodził za tę przestrogę i niesprawiedliwość, którą może z mylnego przekonania popełnił.

DZIWNY SWAT.

Pewien bogaty pan hiszpański miał córkę jedynaczkę, o którą starało się bardzo wielu kawalerów; chcąc uczynić najlepszy między nimi wybór, chcąc rozpoznać, który z nich

uszczęśliwić może jego córkę, użył ku temu dziwnego pośrednika czyli swata, małpę, która chowana we dworze była zarazem faworytą jego jedynaczki.

Z pomiędzy wielkiej liczby zalotników szczególniejszą zwrócił uwagę na trzech, i chciał się przekonać, który z nich prawdziwie córkę jego kocha i najmocniej jest do niej przywiązany. Ponieważ małpy szczególniej mają tę własność, że naśladują zwyczaje i obyczaje osób, z któremi jakiś czas przebywają, umyślił więc ojciec powierzać małpę pod dozór i opiekę na pewny czas trzem zalotnikom o rękę swej córki, pod pozorem, że wyjeżdzając z nią w drogę daleką, nie ma przy kim zostawić jej ulubionej małpy. Naturalna rzecz, że każdy z owych kawalerów chętnie się podejmował tej opieki dla przypodobania się swemu przyszłemu teściowi, mając przytem nadzieję, że tym sposobem i pannie się przypodoba.

Małpa więc bawiła przez kilkanaście dni przy jednym kawalerze; odebrał ją ów ojciec nareszcie z podróży wróciwszy. Skoro małpa weszła do swej pani, rzuciła się zaraz na jadło; jadła, piła wino, żarłoczniej i chciwiej niż to czyniła zwykle, aż nareszcie przy stole zasnęła. Z początku sądził stary pan, że małpa okazuje się tak obżartą dlatego, że cierpiała głód w gościnie; widząc zaś, że to samo czyniła drugiego i trzeciego dnia, wniósł, że takiego nałogu obżarstwa i opilstwa nabyła u owego młodego kawalera, u którego kilkanaście dni w gościnie bawiła, domyślał się więc, że kawaler także podobną skłonność mieć musi. W rzeczy samej bliżej się o nim dowiadując, przekonał się, że domysł jego był istotną prawdą; kawaler miewał codzień gości, rachując na wielki posag przyszłej zony, pił, jadł aż późno w noc, i częstokroć przy stole ze swymi towarzyszami zasypiał. Takiemu więc zalotnikowi odmówić rękę swej córki ojciec postanowił, gdyż starał się o nią tylko dla dogodzenia swej skłonności do zbytków.

Tak samo bawiła małpa przez jakiś czas u drugiego zalotnika, i wróciwszy od niego do domu, pobiegła natychmiast do stolika, przy którym czasami grano w karty dla zabawy; szukała kart i znalazłszy je, przewracała, mieszała, zbierała, słowem wyrabiała z kartami wszystkie manewry, jakie grający

wyrabiają. Naprowadzało to ojca na domysł, że ten drugi kawaler musi lubić grę w karty. Postanowił się lepiej o nim wywiedzieć, a gdy się przekonał, że rzeczywiście jest tego rodzaju graczem, odmówił mu ręki swej córki, gdyż przy takiej skłonności męża, żona szczęśliwą z nim być nie może.

Musiała więc małpa pod takimże jak wprzód pozorem pójść w gościnę do trzeciego kawalera. Gdy od tego do domu wróciła, okazywała rozmaite swym zwykłym obyczajem miny, z których przecież niczego domyślać się nie można było; nareszcie zdjęła portret, postawiła go przed sobą, kłaniając mu się nisko, zaczęła wodzić po nim tam i sam palcami, jak gdyby malować go chciała, wzięła go znowu w łapki, biegała z nim po pokoju, przypatrywała mu się i całowała go i wzdychała do niego, jak jaki rozkochany. Pilnie się dopytując ojciec, dowiedział się, że ów młodzieniec dla własnej rozrywki trudni się czasami malowaniem, że znacznie w tej sztuce postąpił i portret jego córki wymalował. Ztąd wniósł, że ten kawaler dobrych jest obyczajów i pięknie postępuje, że dla zabawy przyzwoite obierać umie zatrudnienie; nakoniec, że szczerze kocha jego córkę; jemu więc bez dalszego namysłu oddał jej rękę, chociaż ze wszystkich zalotników najmniej był majętny.

Nie każdy wprawdzie ojciec szczęścia swemu dziecku w związku małżeńskim zapewnić chcący, ma małpę, którejby mógł użyć do wyśledzenia skłonności i sposobu życia swego przyszłego zięcia, znajdzie jednak wiele innych do tego celu posłużyć mogących środków.

W każdym razie małpa lepszym stała się swatem niż wielu ludzi, którzy biorą sobie za rzemiosło kojarzyć małżeńskie związki; bo tacy rzadko kiedy szczęście małżonków ale raczej własny interes mają na celu. *(Z.)*

GADKA.

Do szczęścia i do mienia najpewniejsza droga:
Praca, czyste sumienie i łaska od Boga!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.